

Nawet jeśli jest ci dobrze

Wydaje mi się, że czasem my, artyści, nie jesteśmy uznawani za obywateli, którzy mają takie same prawa jak wszyscy. Kulturę w kryzysie bardzo łatwo pominąć, a przecież bez sztuki nie byłoby niczego – mówi aktorka Anita Sokołowska, która w bydgoskim Teatrze Polskim debiutuje jako reżyserka.

ROZMOWA Z
ANITA SOKOŁOWSKA*

SANDRA ZAKRZEWSKA: Dobrze jest wrócić do Bydgoszczy?

ANITA SOKOŁOWSKA: Nie ukrywam, że wracając tutaj, czułam lęk, bo wiele się w moim życiu zmieniło. Człowiek, gdy wraca, nigdy nie wie, co zastanie. Poza tym to powrót w zupełnie innym charakterze. Po raz pierwszy reżyseruję spektakl i w obsadzie mam osoby, z którymi grałam wcześniej na scenie. Miałam obawy, jak przyjmie mnie zespół i czy uda nam się spotkać na wspólnej płaszczyźnie. To zawsze wymaga dużej chęci z jednej i z drugiej strony. Zależało mi, żeby moi koledzy poszli za mną i uwierzyli, że świat, który im proponuję, jest interesujący. To oczywiście był też dla mnie wielki sprawdzian, czy potrafią to robić.

Aktorzy i aktorki uwierzyli w ten świat?

– Od pierwszej próby czytanej utwierdziłam się w przekonaniu, że zrobiłam świetną obsadę i wszyscy bardzo dobrze pasują do ról, ale też poczułam, że zespół bardzo dobrze odczytał to, w jaki sposób chciałabym opowiedzieć „Komediantkę”. Rzecz dzieje się w środowisku teatru ogródkowego. Wszyscy chcą być gdzieś indziej, marzą o wielkiej sztuce, a są uwikłani w swoją realność i w to, co się podoba niewymagającej publiczności. Czytając „Komediantkę”, miałam poczucie, że ta historia jest do opowiedzenia, a moi koledzy świetnie to wyczuli. Podczas prób wielokrotnie padało pytanie: „czy to napisał Reymont?”. Tak wspólnie zabrzmiął język Reymonta i to, o czym opowiedział. To dojmujące, że przez tyle lat kondycja świata artystycznego nie za bardzo się zmieniła. W dużej mierze opowiadamy o pasji, która jest siłą napędową, i o tym, że ludzie, którzy ją mają, są po prostu wygrani. Jeśli robimy w życiu to, co kochamy, to nawet kiedy przychodzą trudniejsze momenty, łatwiej jest przez nie przechodzić.

Zastanawiam się, czy nie jest to do końca utopijna wizja w odniesieniu akurat do świata artystycznego. Myślę chociażby o aktorach i aktorkach teatralnych, których los, mimo wielkiej pasji, jest przeogromnie trudny.

– To nasz odwieczny dylemat, czy robić to, co kochamy, czy spełniać się na innych polach dających mniej satysfakcji. Nadal wydaje mi się, że łatwiej przechodzić przez trudności, mamy w sobie pasję i ona daje nam pęd życiowy.

Chciałam o tym opowiedzieć w „Komediantce” – o miłości i nienawiści do teatru. Tak jak kochamy teatr, tak czasami go nienawidzimy i wiemy dobrze, jak bardzo ta pasja może nas wypalić.

Teatr to wielki magnes, który nas bardzo ciągnie, mimo że nie zawsze dostajemy tyle, ile wkładamy.

Chciałaś tym spektaklem w pewnym sensie włożyć kij w mrowisko i opowiedzieć o teatralnym środowisku?

– Szczerze mówiąc, nigdy nie ciągnęło mnie do tego, żeby wkładać ten kij w mrowisko, bo my sami w tym środowisku jesteśmy tak zapętleni, towarzysko uwikłani i boksujący się ze sobą, że coś

takiego z mojego punktu widzenia jest nieciekawe dla widza. Zawsze się zastanawiam, czy takie autotematyczne spektakle są interesujące dla tzw. normalnego widza. Wydaje mi się, że nie, chociaż szanuję każdy rodzaj teatru i ta różnorodność powinna zostać zachowana. Reymont napisał to bardzo barwnie – wszystkie małe waśnie, zaczepki, kłótnie. Ja jednak bardzo chciałam obedrzeć tę fabułę z koteryjności tych ludzi. Nie chciałam się naśmiewać ani nikomu niczego udowadniać. Interesuje mnie historia Janiny Orłowskiej, która trafia do jakiegoś środowiska i próbuje sama w swojej uczciwości, dobrej konstytucji wewnętrznej przejść przez to, nie tracąc siebie.

Pomyślałam o tym wkładaniu kija w mrowisko dlatego, że „Komediantka”, mimo że napisana pod koniec XIX w., jest szalenie aktualna i pewnie bardzo łatwo byłoby znaleźć się w środowisku debaty o #metoo czy instytucjonalnej hierarchiczności.

– Staram się nie nadawać temu takiego aktualnego znaczenia, ale te wątki oczywiście tam są i jeśli ktoś je odnajdzie, to bardzo dobrze. Próbuje opowiedzieć tę historię wspólnie, mimo kostiumów i języka Reymonta ze sceny nie pada ani jedno słowo, które nie pochodzi z „Komediantki”. Używamy nawet wspaniale napisanych przez niego didaskaliów, więc mamy klasyczny tekst i przecinamy go współczesnymi napię-

***Anita Sokołowska**

• była aktorką bydgoskiego teatru od 2007 do 2015 r. Artystka wróciła do Teatru Polskiego, gdzie zadebiutowała w ostatnią sobotę jako reżyserka teatralna. Stworzyła spektakl według książki Władysława Reymonta „Komediantka”.



• **Anita Sokołowska z zespołem podczas pracy nad „Komediantką”. Obok zdjęcia z przedstawienia w Teatrze Polskim**

FOT. TEATR POLSKI
W BYDGOSZCZY

ciaami – dźwiękiem, ciałem aktorów, pauzami, współczesnym ruchem. Bardziej stawiamy na wrażeniowość i wyobrażenie niż dosadność.

Od dawna myślałaś o reżyserowaniu?

– Absolutnie nie. Pewnego popołudnia zadzwonił do mnie Wojtek Faruga z Julką Holewińską i opowiedzieli, że mają taki pomysł, bym wyreżyserowała u nich spektakl i co ja na to (śmiech). Naprawdę to nigdy nie było w moich planach. Może jedynie czasem myślałam, że byłabym w stanie, bo mam doświadczenie i pewne rzeczy umiem dostrzegać, ale to bardziej koincydencja dobrej energii – ja pomyślałam, a oni mnie wymyślili. Ta premiera miała odbyć się rok wcześniej i czytając „Komediantkę” w pandemii, od razu wiedziałam, o czym chciałabym opowiedzieć.

O czym?

– O sytuacji nas, artystów, kiedy pracujemy, pracujemy, aż nagle dostajemy uderzenie w spłot i nie możemy oddychać. Tym była dla nas, artystów, pandemia. Oczywiście dla wszystkich, ale na-

To, że mi jest dobrze, nie oznacza, że inni nie mierzą się z problemami. Staram się wykorzystywać swój publiczny głos, którego inni nie mają

sze środowisko zostało najpóźniej dostrzeżone w pomocy. Chciałam opowiedzieć o wyrwach w naszej pracy i odbieraniu jej sensu.

Wydaje mi się, że czasem my, artyści, nie jesteśmy uznawani za obywateli, którzy mają takie same prawa jak wszyscy, kulturę w kryzysie bardzo łatwo pominąć, a przecież bez sztuki nie byłoby niczego.

Nie byłoby nas. Nie można nam nagle powiedzieć: „dobra, teraz was spychamy” i nie wziąć za to odpowiedzialności.

e, pomyśl o innych



FOT. NATALIA KABANOW / TPB (2)



W czasie pandemii byłam w uprzywilejowanej pozycji, bo wiedziałam, że czeka mnie kolejna transza serialu, więc mogę sobie pozwolić na przerwę, ale nie wszyscy byli w takiej sytuacji. Jako osoba publiczna biorę udział w wielu akcjach społecznych i to uświadamia mi, że nie jestem pępkiem świata i trzeba zauważać ludzi dookoła. To, że mi jest dobrze, nie oznacza, że inni nie mierzą się w problemami. Staram się wykorzystywać swój publiczny głos, którego inni nie mają.

Po pracy w bydgoskim teatrze nigdy nie byłaś już etatową aktorką w żadnym miejscu. Dlaczego?

– Świadomie chciałam odpocząć od teatru, który jest totalnie zagarniający i ingerujący w ciebie. Jeśli pracujesz w takim teatrze zaangażowanym, jakim była Bydgoszcz, to bardzo trudno rozdzielić życie prywatne i zawodowe. Byłam wykończona i nie ukrywam też, że jak jest dziecko, to chce mu się poświęcić czas. Poczulałam, że Bydgoszcz mnie za bardzo zabrała i spaliła. Miałam kiedyś taką historię, że stałam na scenie, byłam

w procesie, produkowałam emocje i pomyślałam, ile jeszcze, ile jeszcze jestem w stanie dać z siebie emocji, żeby być uczciwa wobec widza. Poczulałam, że dochodzę do granicy, a zawsze pracowałam w taki sposób, nie potrafię inaczej.

Pamiętam. Sama płakałam na „Nordost”.

– Było „Nordost”, a potem następne i następne wyczerpujące rzeczy. Do tego praca w serialu, która też jest wymagająca. W pewnym momencie pomyślałam sobie, że nie dam dłużej rady i żeby dalej kochać ten zawód, muszę odpocząć. Teraz też jestem w takim momencie, że staram się wpuścić do życia inną energię i zwalniam, daję sobie czas, żeby odpocząć, poczytać i się zastanowić.

A te trzy miesiące spędzone teraz w Bydgoszczy pozwoliły ci wpuścić tę inną energię?

– Tak, bardzo. Upewnili mnie też, że to, co robię dla siebie, jest słuszne. Sprawdziłam, czy jest możliwość pracy w teatrze, inaczej niż robiłam to dotychczas, czyli z szacunkiem do czasu wolnego ak-

torów, przebiegu samych prób. Myślę, że mi się to udało. Sama sytuacja bydgoskiego teatru w budowie nie jest łatwa. Teatr nie ma miejsca do prób, ma ograniczone miejsce eksploatacji spektakli, a „miasto” nie zapewniło odpowiedniej zastępczej przestrzeni, by mógł w spokoju funkcjonować, co dla mnie jest skandalem. Pracowaliśmy w każdej możliwej przestrzeni w Bydgoszczy – od hotelu, aulę liceum po salę gimnastyczną. Warunki były bardzo trudne, ale nie narzekam, bo wiem, że teatr nie mógł mi nic innego zapewnić. To jednak wpływa na proces twórczy. Jak mam prowadzić próbę w sali, w której są jarzeniówki i wykładzina, a tu nagle mam mówić o sztuce. Trudno wkręcić w to wszystko aktorów

i też siebie w takich warunkach. Musiałam ciągle energetycznie pracować nad tym, żeby dawać dużo więcej aktorom i nadawać sens temu, co robią.

Wspaniały zespół aktorski teatru świetnie się w tych trudnościach odnalazł i wszedł w proces twórczy.

Mieliśmy pierwotnie robić to w zupełnie innym miejscu i moja „Komediantka” jest wymyślona na inną przestrzeń, nie teatralną. Nagle przez decyzje rządowe, czyli oszczędności na energii, musieliśmy zrezygnować z wynajmu tamtej sali, bo teatru nie było na to stać. To był wielki stres, ale wybrnęliśmy z tego.

A coś zaskoczyło cię w reżyserskiej pracy? Odchodząc od technicznych kwestii.

– Może to, że trzeba być wielkim psychologiem i socjologiem (śmiech). Nie wiedziałam, jak duża jest ta energia, którą ty jako reżyser musisz dać. Ale upewniłam się, że jeśli dajesz szczerą energię, to ona do ciebie wraca z podwójną mocą. I to dostałam od zespołu aktorskiego, za co serdecznie dziękuję. ●

Rozmawiała Sandra Zakrzewska

■
Świadomie chciałam odpocząć od teatru, który jest totalnie zagarniający i ingerujący w ciebie